

Granatowy szantażysta

13 czerwca 2015

Sądy podziemne skazywały szantażystów na karę śmierci, ale my nie byliśmy sądem i nie mogliśmy się na to powoływać. Z drugiej strony sukinsyn był nie tylko zdrajcą, który pomagał szkopom, ale stanowił też dla nas zagrożenie. Musieliśmy mieć pewność, że nie będzie już nikomu szkodzić.

Do mego Ojca (na zdjęciu) kilkakrotnie przychodziły różne typy spod ciemnej gwiazdy z propozycją nie do odrzucenia: albo dostaną dużo pieniędzy, albo doniosą Gestapo, że Ojciec leczy ukrywających się Żydów. Pierwszego takiego typka Ojciec po prostu wyrzucił za drzwi. Wyszedł jak niepyszny i przez jakiś czas był spokojny. Ale sytuacja była groźna. Niemcy niejednemu raz najpierw strzelali, a dopiero później pytali, o co chodzi... No a poza tym każdy kontakt z ich władzami był niebezpieczny, bo nigdy nie było wiadomo, co ich może zainteresować lub co się im nie spodoba.

Mieszkanie nasze też nie było czyste. Prawie zawsze były w domu jakieś gazetki, często odbywały się w nim lekcje w ramach tajnych szkolnych kompletów, a ponadto mieliśmy zamelinowane radio. Wprawdzie ukryte było bardzo dobrze (w wielkim kaflowym piecu za kominkiem, w części bardzo ozdobnej, praktycznie nienagrzewającej się, gdy palono w podłączonym do pieca wojennym trociniaku), a jego uruchomienie było możliwe bez wyjmowania go ze skrytki, ale w razie dokładnej rewizji fachowcy mogli je jednak znaleźć, a za posiadanie radioodbiornika obowiązywała kara śmierci.

Przy okazji kolejnej tego rodzaju wizyty, w czasie której nie było mnie w domu, Ojciec z pełnym spokojem podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer policji niemieckiej i poprosił o przysłanie patrolu. Mówił po niemiecku, z doskonałym berlińskim akcentem. Szantażysta nie uwierzył, że była to prawdziwa rozmowa i domagał się coraz bardziej natarczywie

pieniędzy, roztaczając barwny opis tego, co w razie ich nieotrzymania czeka Ojca i naszą rodzinę. Oficer wraz z dwoma niemieckimi policjantami zjawili się bardzo prędko. Zapytali czy to ten, a po potwierdzeniu facet dostał profilaktycznie w mordę i został dokładnie zrewidowany.

Ojciec wyciągnął z biurka bardzo starą skórzaną teczkę z wytłoczonym herbem, a z niej stare rodzinne papiery w języku niemieckim i francuskim oraz pergaminy po łacinie. Po krótkiej i bardzo grzecznej rozmowie oficer przeprosił Herr Graf von Bernhardt i patrol wyszedł, zabierając szantażystę ze sobą. Z dokumentów (które po raz pierwszy zobaczyłem po tych wydarzeniach) niezbitnie wynikało prawo do rzeczzonego tytułu.

Na wszelki wypadek zniknęliśmy z Ojcem na pewien czas z domu, aby nie narażać się na ewentualny dalszy ciąg tej sprawy, na przykład na propozycję oficjalnego zaliczenia do „narodu panów”. Takie niebezpieczeństwo zawsze istniało, gdyż ojciec mój i dziadek (nie wiem, jak wcześniej) mieli przed I wojną światową obywatelstwo niemieckie, o czym mowa jest w innym miejscu tej książki. Rezygnacja z takiego zaszczytu była „zbrodnią wobec narodu niemieckiego” i gwarantowała pobyt na jego koszt w obozie koncentracyjnym.

O incydencie tym zameldowałem moim przełożonym w konspiracji (było to jeszcze NSZ[1]). Sprawdzili swoimi kanałami, że sprawa nie miała dalszego ciągu. Szantażysta wykpił się, mówiąc, że się pomylił: myślał, że działa dla dobra Niemiec. Prawdopodobnie pojechał „na ochotnika” na roboty do Niemiec.

Po blisko dwóch latach podobną wizytę złożył Ojcu (o ile dobrze pamiętam stopień) sierżant granatowej policji. Krótco po jego przyjsciu wszedłem wraz z dwoma kolegami[2] z wojennej Politechniki i z konspiracji do mieszkania. Mieliśmy przy sobie pistolet Vis, bowiem wracaliśmy ze zbiórki, po której nie zgłosiła się po niego łączniczka[3] i miałem przechować go w domu.

Z gabinetu Ojca słysząc było głośną rozmowę. Ojciec był w tym czasie w bardzo złym stanie zdrowia po amputacji lewej ręki i w fatalnym stanie psychicznym. Zaniepokojony, wbrew obowiązującym w naszym domu zwyczajom, zapukałem i otworzyłem szeroko drzwi do gabinetu. Granatowy krzyczał na Ojca, groził mu i straszył. Jurek Miller (mój przełożony konspiracyjny) wyjął z kieszeni płaszcza pistolet i repetując go wszedł za mną do gabinetu. Poprosił uprzejmie granatowego o oddanie broni. Ten zbladł, zbaraniał i pozwolił bez oporu wyjąć ze swej kabury siódmkę FN.

Waldek Misiorowski wyjął mu z kieszeni kajdanki oraz klucz do nich i przypiął go do siebie. Widziałem, że Jurek przedłużył rewidowanie jego kieszeni, przegląda legitymację policyjną, notes i jakieś szpargały, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Postawił wreszcie naszego jeńca twarzą do ściany, porozumiał się z nami wzrokiem i wyszliśmy wszyscy razem na Miodową. Było późne popołudnie (lub może wczesny wieczór) i zaczynał się zmierzch. Szedłem z Jurkiem Millerem kilka kroków za Waldkiem, który spięty kajdankami z granatowym wyglądał jak aresztant. Przeszli na drugą stronę Miodowej i weszli do bramy pod numerem sześć. Dom ten był całkowicie spalony i częściowo zburzony w 1939 roku, ale przez gruzy biegła wydeptana wśród ruin ścieżka skracająca drogę do ulicy Podwale.

Idąc w pewnej odległości za nimi, zastanawialiśmy się z Jurkiem Millerem, co z tym fantem dalej zrobić. Nie było rady, trzeba było drania sprzątnąć – za dużo widział i mógł być niebezpieczny. Sądy podziemne skazywały szantażystów na karę śmierci, ale my nie byliśmy sądem i nie mogliśmy się na to powoływać. Z drugiej strony sukinsyn był nie tylko zdrajcą, który pomagał szkopom, ale stanowił też dla nas zagrożenie. Musieliśmy mieć pewność, że nie będzie już nikomu szkodzić.

Wprowadziliśmy go między resztki murów spalonego domu, tak że nie było nas widać z Miodowej ani z Senatorskiej i Podwala. Zrozumiał, co go czeka. Trząsł się jak galareta i obiecywał nam za puszczenie kilogramy (dokładnie tak mówił) złota.

Jeszcze raz zrewidowaliśmy go, zabraliśmy bluzę mundurową, czapkę, pas z kaburą (mogły się przydać), a także wszystkie drobiazgi, jakie miał w kieszeniach – w tym złoty zegarek ze złotą dewizką – aby utrudnić jego ewentualną identyfikację.

Ciągnęliśmy losy, po chwili padł strzał. Waldek wyjął z kieszeni kawałek papieru, napisał na nim dużymi, grubymi literami „Jude”, położył mu na piersi i przycisnął kawałkiem cegły. Był to makabryczny chwyt, ale okazał się skuteczny. Jurek dowiedział się po kilku dniach, że trupa znalazła nazajutrz miejska służba porządkowa i został pochowany gdzieś w masowym grobie na terenie byłego Getta. Dziwne, ale nie miałem najmniejszych wyrzutów sumienia. Jedyne uczucie, jakie pamiętam, to obrzydzenie na widok zmasakrowanej i okopconej gęby granatowego.

Odgłos strzału pistoletowego w ruinach nikogo nie zdziwił. Przypadkowi nieliczni przechodnie prawdopodobnie przyspieszyli jedynie kroku i rozplynęli się na sąsiednich ulicach.

Poszliśmy w kierunku Rynku Starego Miasta. Z jednej z małych knajpek-spelunek zatelefonowałem do domu. Powiedziałem Ojcu, że pan Dunkelblau (Granatowy) miał wypadek, stan jego jest beznadziejny, a ja będę nocować u cioci.

Jurek Miller przesłał meldunek o tym wydarzeniu do swoich przełożonych i przekazał wszystkie zarekwirowane rzeczy i przedmioty – w tym złoty kieszonkowy zegarek i złotą dewizkę. Zarządzono formalne śledztwo. Przesłuchiwali nas (każdego osobno) jacyś nieznani nam uprzednio faceci. Wiem też, że ktoś rozmawiał z moim Ojcem. Okazało się, że gliniarz miał wiele na sumieniu i miano go od pewnego czasu na oku. Uprzedziliśmy konspiracyjny wymiar sprawiedliwości.

Po około czterech–pięciu tygodniach zakomunikowano nam oficjalnie, że dochodzenie w tej sprawie zostało umorzone. Dostaliśmy podziękowanie za zdobycie broni i amunicji oraz dokumentów i umundurowania policyjnego. Nie przypominam sobie,

aby wspomniano także o złotym zegarku z dewizką...

Opisując po wielu latach tę historię, z końca czwartego lub początków piątego roku wojny, czuję się tak, jakbym opisywał obce sprawy, zupełnie mi obojętne. Wojna zdemoralizowała wszystkich, a jej okropności uodporniły nas psychicznie. Rozumiem ówczesny brak głębszej reakcji, ale dziś? Dziś chyba zrobiłbym w tych samych warunkach i w analogicznej sytuacji dokładnie to samo. Do dziś bowiem pamiętam, mam ten obraz przed oczami: mój Ojciec, niski, szczupły staruszek, inwalida bez lewej ręki, zdenerwowany, jękający się – w takim stanie jeszcze go wcześniej nie widziałem. A naprzeciw spasiony, wysoki chłop krzyczący i bawiący się przerażeniem Ojca.

Ciekawe, że z Ojcem nigdy później na ten temat nie rozmawiałem. Nie pytał, co się stało z policjantem, co zrobiliśmy. Tak, jak gdyby tego zdarzenia nigdy nie było. Być może wolał nie wiedzieć.

Mnie pozostał szczególny wstręt do granatowych policjantów będących na służbie u Niemców, choć dziś wiem, że niektórzy z nich pozostali nimi na polecenie polskich władz konspiracyjnych i byli bardzo pożyteczni. A cała ta historia powróciła do mnie w szczegółach dopiero podczas pisania wspomnień z okresu okupacji. Wcześniej nie istniała, jakby rozplynęła się wśród innych, zbyt licznych zdarzeń.

Autorstwo: prof. Maciej Bernhardt

Fragment drugiego tomu książki „Z Miodowej na Bracką”

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

PRZYPISY

[1] Autor należał przejściowo do tej organizacji zanim wstąpił do AK. Więcej na ten temat w: Z Miodowej na Bracką. Opowieść powstańca warszawskiego [część 1], Kraków 2009, s. 141–142, 146–155.

[2] Jurkiem Millerem i Waldemarem Misiorowskim, kolegami z jednej drużyny 237 plutonu batalionu „Żubr”. Obaj zginęli pod Boernerowem w drugim dniu Powstania.

[3] Broń na zbiórki szkoleniowe z reguły przynosiły i odbierały łączniczki.